

MONIKA LITWINOW



ZA LASAMI



MONIKA LITWINOW

ZA LASAMI

Copyright ©Monika Litwinow, 2021

Projekt okładki
Magdalena Batko

Redaktorka prowadząca
Monika Litwinow-Cieślewicz

Redakcja
Lena Marciniak-Cąkała
Słowne Babki

Korekta
Paulina Parys,
Weronika Chorążewicz,
Słowne Babki

Skład i łamanie
Magdalena Batko
Tak się składa

ISBN 978-83-962722-2-5

Bydgoszcz 2021

Wydawca
Wydawnictwo OBLIVIO
ul. Ks. Jana Długosza 12/4, 85-233 Bydgoszcz
monikalitwinow.pl

7 stycznia 2019 roku, wtorek

Rozdział 1

LAS BRZEZIŃSKI

Pan Antoni otworzył oczy za sprawą bezgłośnego budzika, który niemal punktualnie wyrywał go ze snu od przeszło czterdziestu lat. Gdyby nie przywiązanie mężczyzny do bezpiecznej rutyny, mógłby podejmować próby dosypiania na siłę po przejściu na odliczoną co do dnia emeryturę. Doceniał ten spory margines ciszy, jaką zapewniały mu poranne spacerunki po brzezińskim lesie z trzynastoletnim jamnikiem, szorstkowiedłym Kumplem.

Ciemność styczniowych poranków wypełniał krzątaniem po niewielkim domku postawionym pod lasem w czasach, o których prawie żaden sąsiad nie pamiętał. Przygotowywał proste śniadanie i czarną kawę. Jej aromat był z kolei budzikiem dla jego żony Janiny. Włączali wówczas Radio Pogoda i siadali do stołu. Wspólne, ciche śniadania przy łagodnej, nienapastliwej muzyce, bez dawnego porannego pośpiechu, stanowiły dobrze znane preludium codziennie wygrywanej nudnej i błogiej melodii.

Za sprawą leniwego słońca, które unosiło się gdzieś za grubymi chmurami, do wnętrza skromnej kuchni wdarła się poranna szarość. Sygnał dla Antoniego do wyjścia. Ucałował

żonę i zostawił bałagan po posiłku bez wyrzutów sumienia. On przygotowywał, ona sprzątała.

Ujemna temperatura nie była uciążliwa, termometr pokazywał zaledwie kilka kresek poniżej zera. Po piętnastu minutach spaceru stawała się wręcz niezauważalna. Nie to, co kiedyś. Tej zimy ani razu nie wyciągnął śniegowców, poprzedniej chyba też nie. Na palcach jednej ręki policzyłby poranki, kiedy na ścieżce leżała cieniutka warstwa śniegu. Jedyne codzienny poranny przymrozek nadawał krajobrazowi zimowy charakter.

Nie miał już tyle siły, co dawniej, ale starał się spacerować przynajmniej godzinę. W lepsze dni nawet dwie lub trzy. Tej nocy bardzo dobrze spał, ból w krzyżu prawie nie dokuczał. Pogoda sprzyjała. Może wróci nawet w porze drugiego śniadania.

Kumpel, choć miał swoje lata, przywykł do tych leśnych wędrówek i wytrwale dotrzymywał właścicielowi kroku. Pan Antoni chodził po głównych ścieżkach na kilku ulubionych trasach, do których się przyzwyczał. Nie zmieniał ich od bardzo dawna i w ogóle mu to nie przeszkadzało. Zresztą czas w lesie był wolny od zmartwień czy dylematów. Niewiele myślał. Po prostu szedł do przodu w cichym towarzystwie psa, który nigdy nie szczekał. Niezbyt urodziwy jamnik zwykle dreptał krótkimi łapkami tuż przy nodze mężczyzny, od dawna niezainteresowany zapachami ukrytymi w leśnej gęstwinie. Idealny kompan.

Rozgonione przez poranek chmury pozwoliły słońcu przedrzeć się między drzewami, gdzie promienie stworzyły proste złote ścieżki w powietrzu. Pan Antoni usłyszał niedawno od swojej prawie już dorosłej wnuczki, że w Japonii lekarze przepisują na receptę ciężko pracującym w korporacjach ludziom dwie godziny tygodniowo pobytu w lesie. Las na

receptę! Bardzo to rozbawiło pana Antoniego i jego małżonkę. Od czasu do czasu przypominał sobie o tym i dochodził do wniosku, że to smutne, ale słuszne i mądre zarazem. W gruncie rzeczy dawno temu on również wybrał taką terapię i uczynił z niej codzienny rytuał. W jego przekonaniu ten zwyczaj skutecznie przedłużał mu życie i wpływał kojąco na nerwy.

O tej porze dnia i roku nie spotykał na swoich udeptanych ścieżkach nikogo. Dlatego też pan Antoni bardzo się zdziwił, kiedy dostrzegł przed sobą duży ciemnobrązowy kosz. Na początku myślał, że to kamień albo sterta gałęzi. Kumpel podbiegł pierwszy i z zaciekawieniem obwąchał znalezisko z każdej strony. Jamnik nie był dostatecznie wysoki, by dostrzec, że kosz jest pełen wypolerowanych czerwonych jabłek. Tuż przy ścieżce na mchu leżało jedno z nich, nadgryzione.

„Maruder z jabłkami w środku lasu? – pomyślał pan Antoni. – Może dostrzegł coś między drzewami. Może poszedł za potrzebą. Kto to wie, lepiej się nie wtrącać”.

Mężczyzna postanowił kontynuować spacer, kiedy sumienie podpowiedziało mu, że ktokolwiek łąził po lesie z koszem pełnym jabłek, choć było to co najmniej dziwne, mógł się po prostu zgubić.

Cofnął się i przyjrzał znalezisku. Na koszu i na jabłkach nie było widać śladów porannego przymrozku, więc ten, kto je zostawił, musiał tędy przechodzić niedawno. Jedynie wewnątrz nadgryzionego jabłka na mchu nabrało nieświeżego pomarańczowego koloru. O innej porze roku już dawno oblażyłyby je mrówki.

Pan Antoni mimo wszystko zdecydował się iść dalej i wrócić tą samą drogą. Jeżeli kosz nadal będzie tu stał, po powrocie do domu zadzwoni do leśniczego Gawrona.

Po kilku krokach zorientował się, że nie ma przy nim Kumpla. Rozejrzał się, ale nigdzie go nie widział.

– Kumpel! Kumpel! – zawołał za nim dwa razy zaniepokojony, że nowy zapach mógł go rozproszyć i zwierzę zgubi się gdzieś między drzewami.

Na szczęście po chwili jamnik wyszedł na ścieżkę obok kosza.

– Ty stary łobuzie, nieźle mnie nastraszyłeś! – powiedział pan Antoni do psa i podszedł poczochnąć go za uchem w nagrodę za to, że przybiegł na wołanie. – Gdzie pobiegłeś?

Jamnik odwrócił się i wszedł między drzewa, skąd przed chwilą wrócił.

– Hej, Kumpel! Wracaj tu!

Pan Antoni ruszył za psem w głąb lasu, choć trudno byłoby to nazwać gęstwina. Kilka kroków na północ i wyszliby na mało uczęszczaną drogę asfaltową, a niewiele dalej na wschód zaczynały się pierwsze zabudowania. Jamnik nie uciekał przed nim, tylko szedł naprzód w sobie znanym kierunku. Droga między drzewami nie była łatwa dla mężczyzny w słuźnym wieku. Gałazki haczyły kurtkę i spodnie, ale pan Antoni parł przed siebie z przecuciem, że Kumpel na coś trafił i prowadzi go w to miejsce.

Po krótkiej chwili pan Antoni znalazł swojego psa wachającego leżące na ściółce zwłoki. Skóra martwej dziewczynki była nienaturalnie śnieżnobiała, włosy – czarne jak węgiel, a usta tak czerwone, jak płatki rózy. Pan Antoni próbował odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Dopiero kiedy Kumpel zaczął obwąchiwać wywleczone na wierzch wnętrzności, przywołał psa roztrzęsionym głosem. Wziął go na ręce i pobiegł, choć od kilku już lat uważał, że tego nie potrafi.